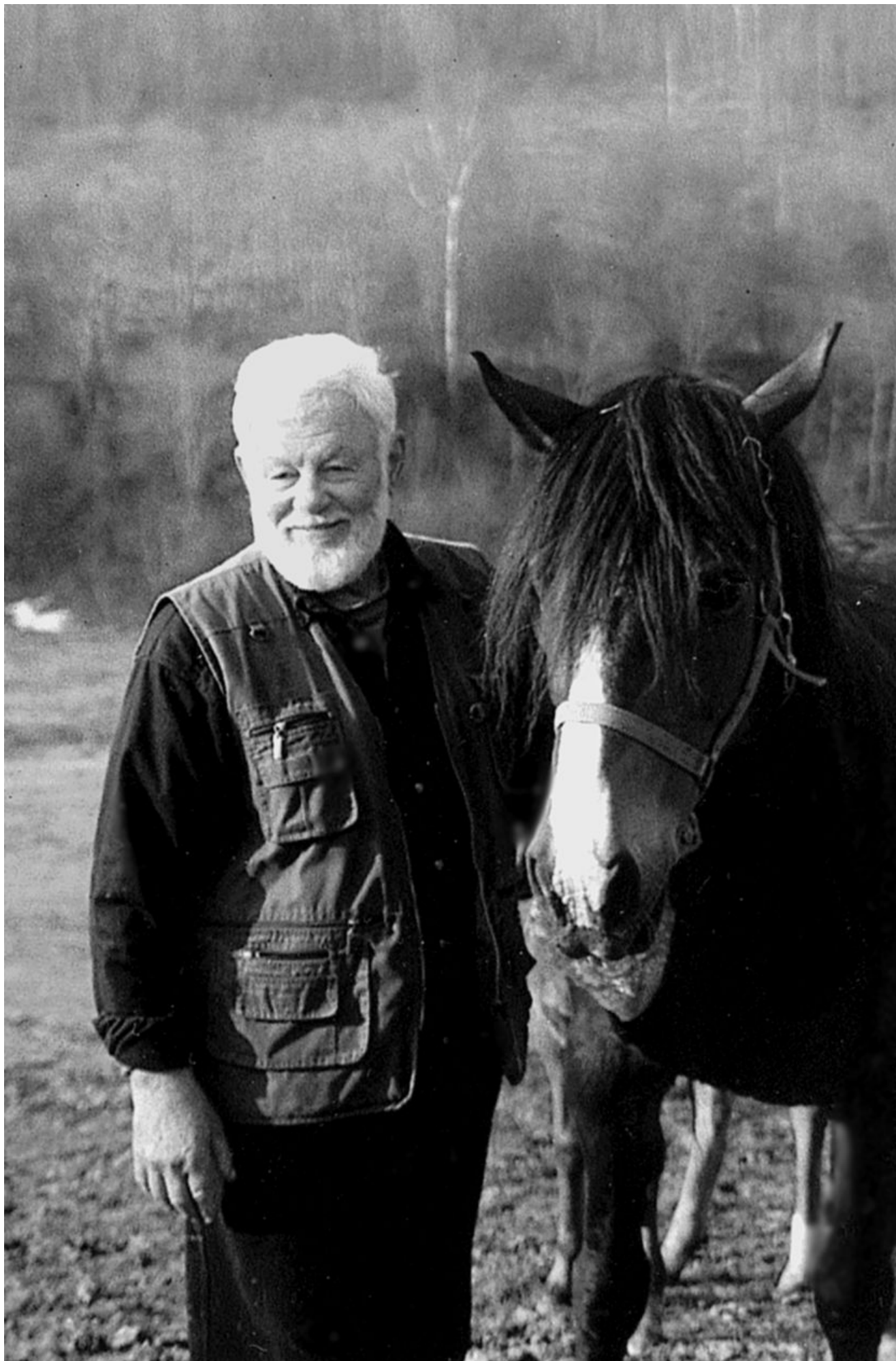


Samotnik znad zatoki

Rozległe pasmo Bieszczad pod koniec lat 40. XX w. stało się za sprawą akcji „Wisła” terenem odludnym, na powrót oddanym we władanie przyrodzie. Po brutalnym wysiedleniu autochtonicznej ludności nastąpił nowy rozdział w historii tych ziem, zaznaczony tropem wilka i niedźwiedzia, a także śladem ludzkich osadników, pionierów szukających swego miejsca na tej ziemi. O jednym z takich właśnie ludzi będzie ta opowieść. Aby jednak udać się na spotkanie z nim należy wprawdzie dotrzeć w niedostępny rejon Zalewu Solińskiego, nazwany od jego nazwiska Zatoką Victorinięgo.



Wyruszam gliniastym szlakiem z Teleśnicy w stronę Chrewtu. Kierunek znam, jednak łatwo się tutaj pogubić w płataninie ścieżek zwierząt i dróg leśnych, z których większość prowadzi tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Szczyt góry Stożek, podobny do piramid egipskich, wyróżnia się swym kształtem spośród okolicznych gór, ofiarując mojej drodze właściwy kierunek, a myślom uspokojenie. Poddaję się jego hipnotycznej mocy i schodzę ze szlaku w głąb leśnych czeluści. Bajkowe kształty sędziwych buków przykuwają wzrok, hamując tempo marszu. Bezdroża mają swój urok. Przemawiają do zmysłów mrokiem tajemnicy, która niejednego śmiałka sprowadziła na manowce. Cudne manowce – zapewne dodałby jeden z bardów tej magicznej krainy. Bieszczady, choć nie tak dzikie jak przed ćwierćwieczem, wciąż zachowały wiele ze swojej dawnej magii.

Ta jednak część wilczej krainy, w której się obecnie znalazłem, została naznaczona piętnem wielkiej tamy na Sanie, po wybudowaniu której powstał Zalew Soliński. Po zachodniej stronie zbiornika wyrosły turystyczne kurorty, oblegane przez wakacyjnych turystów, natomiast część wschodnia pozostała dzika i niedostępna, kryjąc swe skarby ukryte głęboko w bukowych lasach. Przejście zarośniętymi ścieżkami nie jest sprawą łatwą, często wymaga poruszania się po zarośniętych stokach, gdzie dopiero użycie wszystkich czterech kończyn gwarantuje powodzenie w wyprawie. Tu jednak najłatwiej spotkać jelenia czy dziką, a także natrafić na biesiadujące przy padlinie drapieżniki. Jedno z takich miejsc napotykam przy potoku, którego brzegiem od dłuższego czasu podążam. Potężny szkielet jelenia z daleka przykuwa moją uwagę. Długi, niczym wstęga, kręgosłup z wycelowanymi ku słońcu szponami żeber, tworzy dość makabryczny obraz. Biel kości oszlifowana z resztek mięśni i ścięgien wskazuje, że zima tego roku mocno trzymała głodem i stołówka miała przez to dobre wzięcie. Takie miejsca przyjdzie mi w ciągu najbliższych dni spotkać jeszcze nie raz.

Dochodzę do „rancza” Victoriniego, który w Sokolem gospodarzy od kilkudziesięciu już zim. Na pobliskiej łące stado srokatek, siwych i karych koni z największą uwagą kontempluje zieleń pierwszej wiosennej trawy. Nieco dalej stado krów beztrósko wyleguje się w słońcu. Wchodzę na podwórze, gdzie na mój widok gromada kundli rzuca się do obrony swojego terytorium przed intruzem.

Po tym małym incydencie mam wreszcie okazję przywitać się z gospodarzem rancza. Henryk Victorini, choć według ludzkiego kalendarza przysługuje mu już siódmy krzyżyk, wydaje się być człowiekiem, do którego czas i przemijanie nie mają dostępu. Jego potężna postać, niczym wyciosana z jednego bloku skalnego, emanuje siłą i spokojem. Siwa broda dopełnia tego obrazu dodając mu dostojności. Gdy mówi, robi to powoli, z rozmysłem dobierając słowa. Czasami, gdy jakaś myśl wyda mu się szczególnie zabawna, powietrze wstrząsa tubalny śmiech, który kruszy pierwsze lody skrępowania i niepewności.

„Choć większość ludzi myśli, że jestem rodowitym bieszczadnikiem – rozpoczął swą opowieść – to z tymi stronami związany jestem dopiero od lat 50. Mój ród wywodzi się z Kresów Wschodnich, z okolic Lwowa. Jednak komuniści odebrali moim rodzicom ziemię i po wojnie przewieziono nas wagonami bydłęcymi do Bytomia. Ponieważ mój ojciec miał znajomych w Krośnie, to postanowiliśmy przenieść się do tego miasta. Tam ukończyłem liceum i rozpocząłem studia weterynaryjne w Opolu, których jednak nigdy nie skończyłem”.



Jest rok 1957. Dwóch młodych ludzi przyjeżdża w Bieszczady wypasać na zlecenie PGR-u stado 500 krów w dolinie Sanu. Dostają przydziałowego konia, stary namiot, surowicę przeciwmijową i karabin. Jednym z nich jest Henryk Victorini. Tak zaczyna się dla niego historia bieszczadzkiego Dzikiego Zachodu. Kiedy w 1958 r. w Bieszczady do opuszczonej doliny Tworylnęgo zjechała ekipa filmowa, by nakręcić film „Ranczo »Teksas«”, Victorini zostaje tam zatrudniony jako kaskader do dublowania Bogusza Bilewskiego w niebezpiecznych scenach jeździeckich. Film przyczynił się do powstania legendy bieszczadzkich kowbojów. Aktorzy odjechali, a Henryk pozostał na Tworylnem, gdzie przez kilka lat prowadził w zaadaptowanym po filmowcach baraku stanicę PTTK o romantycznej nazwie „Szept”. Prowadził tam barwne życie kowboja wypasającego bydło w Dolinie Sanu.

„Osiedlając się w Bieszczadach nie miałem tu niczego, tylko młodość. Zmagalem się z mrozami, ze śniegiem. Miałem momenty bardzo ciężkie, bo kiedy tu przybyłem nie posiadałem żadnego doświadczenia, kierowałem się tylko zamiłowaniem. Zaczęłem więc polować i hodować bydło. Niezmiernie przykro się czułem, gdy musiałem sprzedać jakąś swoją krowę. Bardzo się do mojego bydła przywiązywałem, chociaż były moim źródłem dochodów. Nie mam mentalności rolnika, nie wiedziałem więc wielu rzeczy. W instrukcji o obchodzeniu się ze zwierzętami było tylko tyle, że zwierzęcia się nie bije, gdyż uszkadza to skórę, która staje się złym surowcem. Widziałem jednak, jak w czasie spędu starsza kobieta dawała robotnikom pieniądze, by nie bili jej krowy i to mnie ruszało, bo ja czułem podobnie”.

Jednak po kilku latach los rzucił go w inne miejsce nad Sanem, na Sokole. Kiedyś była tu wieś, założona w XIV w. w dobrach rodziny Kmitów. Jeszcze w 1921 r. liczyła 49 domów i 338 mieszkańców. Nad Sanem stał murowany pałacyk i kaplica otoczona starym parkiem. W okresie międzywojennym właścicielka pałacyku, Aleksandra Brandysowa, założyła tu pensjonat oraz stację turystyczną PTT. Jednak, kiedy w latach 1945-1951 wieś znalazła się w granicach Związku Radzieckiego, wszystkich mieszkańców Sokola wywieziono w głąb ZSRR w okolice Odessy. Gdy tereny te powróciły w granice Polski, pałacyk świecił już pustkami.

„Gdy jeszcze mieszkałem na Tworylnem, spotkałem grupę studencką, która postanowiła zatrzymać się u mnie na dłużej, poprosili mnie jednak o podbicie karty PTTK w bacówce na Sokolem, oddalanej od mojego schroniska o kilkadziesiąt kilometrów. Wsiadłem więc na konia - miałem wtedy wspaniałą klacz - i pojechałem podbić im karty. Baca, który urzędował tam w bacówce, bo schronisko jeszcze wtedy nie funkcjonowało, nie mając tuszu, napluł na pieczętkę i w ten sposób podbił kartę. Tak się jednak losy ułożyły, że jakiś czas później pojechałem do PTTK i znajomy poprosił mnie, abym uruchomił stację turystyczną w Sokolem. To były dla mnie najlepsze lata. Żyłem tak aż do momentu budowy zbiornika solińskiego i jego spiętrzenia na przełomie lat 1967 i 1968”.

Gdy teren dawnego dworu znalazł się na dnie zalewu, z materiałów z rozbiórki pałacu Victorini wznosił nowy dom. Jego ranczo pozostało tutaj samotne niczym pustelnia nad zagubioną wśród lasów zatoką.

„Moją samotność traktuję jak zakon, sam wybrałem taką drogę, nikt mnie nie przymusił do tego. Muszę się więc sam utrzymać. Chociaż lubię towarzystwo, nie mogę sobie na nie pozwolić, gdyż zima jest tutaj bezwzględna. Spokojny jestem wtedy, gdy mam odpowiednią ilość paszy dla moich zwierząt. Bo nie tylko my mamy zwierzęta, ale i one nas mają. Zwierzętom trzeba się poświęcić, trzeba kosić trawę, zwozić siano, a w związku z tym jest mało czasu na życie towarzyskie. W tym czasie, kiedy moi koledzy mają wakacje, ja mam najwięcej pracy. Przywiezienie czegoś zimą jest tutaj strasznie trudne, gdyż droga na Sokole jest niedostępna. Wszystkie potrzebne rzeczy, takie jak sól

dla bydła czy elementy do obsługi gospodarstwa, muszę sam przywieźć jeszcze przed zimą”.

Okolice rancza, z uwagi na niemal zupełny brak aktywności człowieka, to prawdziwy raj dla dzikich zwierząt. W pobliskich lasach znaleźć można liczne ślady jeleni, dzików i wilków. Gdy nieopodal domu usiadłem na wysokiej skarpie porośniętej drzewami, ze zdziwieniem odkryłem, że obserwuje mnie z gniazda myszołów. Jeszcze przez chwilę mogłem cieszyć się jego widokiem, po czym ptak wzbił się w górę, aby móc spojrzeć na świat z odpowiedniego dystansu.

„Często widuję tu zwierzęta. Obserwuję, jak przychodzą na pola, jak pasą się z moimi końmi. Wilki także czasem polują na moje zwierzęta, ale nie domagam się wypłacania za to odszkodowania, bo to jest woda na młyn dla myśliwych, aby strzelać do wilków. Dziki mają tutaj także dużo przeciwników. Czasami mi w nocy łąki poryją, ale ja nie życzę sobie, by na moim terenie do nich strzelano.

„Ludzie myślą, że skoro tu mieszkam, to poluję, uprawiam żeglarstwo, łowią ryby, a tak nie jest” – przekonuje Victorini. – „Uważam za rzecz haniebną, że można się pasjonować myślistwem. Przecież ludzie, którzy tutaj polują, mają co do garnka włożyć, nie robią tego z głodu. Kiedyś było tu dużo więcej zwierzyny, obecnie jest ona zdziesiątkowana. Łań jest więcej niż byków, gdyż poroża samców są atrakcyjne i wiszą na ścianach w gabinetach prominentów. W tym roku rykowisko jeleni odbywało się tutaj w grudniu, gdyż łąnie nie pokryte jesienią, gdy był sezon polowań, ponownie wywołały ruję. Powinniśmy się uczyć nie tylko jak zachowywać się w stosunku do drugiego człowieka, ale również, jaki człowiek powinien być wobec zwierzyny. Niestety ten temat ignorowany jest w nauce Kościoła, a przecież ludzie nie powinni traktować zwierząt jak przedmiotów i jak czegoś, na czym można się wyżyć”.



Zatoka Victoriniego. Fot. Krzysztof Mazurkiewicz

W 2001 r. okolice Sokola stały się miejscem przygotowań do międzynarodowego rajdu samochodów terenowych „Trophy of Poland”, zaliczanego do jednej z największych tego typu imprez na świecie. Kierowcy jeepów urządzili tutaj wczesną wiosną poligon doświadczalny dla swoich aut, wyszukując miejsca jak najbardziej dzikie, aby mieć odpowiednie plenery dla ekstremalnych zmagania. Dolina

Paniszczewa i szlak na Teleśnicę rozbrzmiewały rykiem zajeżdżanych silników i zgrzytem pracujących wyciągarek. Rozjeżdżone szlaki i uszkodzone żeremia bobrowe wskazywały, czym międzynarodowy rajd może się skończyć dla bieszczadzkiej przyrody. Henryk Victorini widząc to wszystko na własne oczy, postanowił zrobić co w jego mocy, aby nie doszło do niszczenia przyrody. Wspólnie z Pracownią na rzecz Wszystkich Istot nagłośnił sprawę w mediach, mobilizując również innych bieszczadników do czynnego oporu przeciw motoryzacyjnym gangsterom. Mimo bowiem jasnego przepisu, który zabrania w parkach krajobrazowych urządzania rajdów, nikt z decydentów nie kwapił się z interwencją. Wręcz przeciwnie, imprezę czynnie wspierali wójtowie, wojewoda i lokalni posłowie, łąsi na tani poklask i udział w medialnym show. Jednak w końcu zwyciężył zdrowy rozsądek i imprezę organizatorzy musieli odwołać. W specjalnym piśmie prezes klubu „Autotraper” napisał: „Z ogromnym żalem pragniemy poinformować, że organizatorzy Trophy of Poland 2001 podjęli decyzję o odwołaniu imprezy. Z nieznanych nam powodów, nieliczna grupa osób przedstawiających się jako reprezentanci ruchu ekologicznego podjęła działania uniemożliwiające bezpieczne poprowadzenie zlotu samochodów terenowych i rozegranie konkurencji. Zapowiedź blokady dróg i innych temu podobnych akcji spowodowały, że po konsultacji z przedstawicielami lokalnych władz podjęliśmy bolesną dla nas decyzję o odwołaniu międzynarodowego zlotu. Jako organizatorzy nie mogliśmy pozwolić sobie na dopuszczenie do działań mogących zagrozić bezpieczeństwu uczestników Trophy of Poland”.

Był to jednak tylko połowiczny sukces, bowiem wciąż w bieszczadzkie ostoje za milczącą zgodą władz wjeżdżają kierowcy jeepów i motokrosowcy. „Myślę, że istnieją tutaj układy mafijne. Odbywają się rajdy, o których nikt nic nie wie. Wojewódzki Konserwator Przyrody, który nie chciał do tego dopuścić został ze swojego stanowiska zwolniony. Leśnicy zamiast chronić, biorą pieniądze od rajdowców. Jest jeden huk, gdy motocykle wjadą w górską dolinę. Tego nie można pogodzić z ciszą, która tu panuje. Do ciągników leśnych, które tu jeżdżą, zwierzyzna się już przyzwyczaiła, bo jeżdżą wolno. Jest to inne zjawisko niż pędzące auta czy motocykle”.

Nocą wychodzę z gościnnej pustelni w dalszą drogę. Małe światełko, które widzę jeszcze przez jakiś czas z Zatoki Victorinięgo, wkrótce rozplywa się w morzu ciemności. Gdy docieram po godzinie drogi nad potok Paniszczew, gdzie bobry zbudowały masywną zaporę i księżyc swą pyzată twarzą odbija się w niewielkim jeziorku, wciąż słyszę słowa sędziwego bieszczadnika: „Takie miejsca powinniśmy zostawić w spokoju, mimo że świat jest pochłonięty żądzą posiadania. W dzikości bowiem leży wzorzec ludzkiego życia”.

Dariusz Matusiak